

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NOWOŚĆ

STANISŁAW STRONSKI

BIAŁY ORZEŁ W KORONIE Z KRZYŻEM

Stron 40. Cena 3/- plus porto.
Na zamówienie wysyła:
Katolicki Ośrodek Wydawn. „Veritas”
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VIII.

Nr 37/377

LONDYN, 12 WRZEŚNIA 1954 R.

TADEUSZ FELSZTYN

NAUKOWCÓW DROGA DO DAMASZKU

Dominantą naukowej myśli XIX wieku było szukanie podstawowych praw przyrody. Mechanika, astronomia, fizyka i chemia, włączając w to i chemię ciał żywych, wszystkie te dotąd niezłączone ze sobą działy nauki zaczęły zlewać się we wspólny strumień. Wyjęta praca dziesiątków, setek uczonych poczęła budować twarde szkielec wspólnych praw, łączących wszystkie zjawiska przyrody ze sobą. A gdy teoria Darwina włączyła w ten świat istot żywych, mechanistyczny model świata począł nabierać rumieńców życia. Zdarta już została ostatnia zasłona tajemnicy, „matka w ruchu” zdawała się być ciekawym wytłumaczeniem wszystkiego, co nas otacza, a nawet i nas samego.

W tym zapale konstrukcyjnym jedynym kryterium „prawdziwości” poszczególnych teorii było, czy pasują one do owych sztywnych ram. Gdy pasowały, przyjmowano je, nie bacząc, czy to kruchy piaskowiec, czy twarde marmur. Jeśli nie pasowały, odrzucało je, choćby to było szczerze złoto.

Dopiero na przełomie XIX i XX wieku wyszły na jaw nowe zjawiska, których nikt nie mógł już było odrzucić, a które absolutnie nie pasowały do owych „podstawowych praw przyrody”. Mechanistyczny model świata począł się chwiać, aż wreszcie runął, pociągając za sobą wiarę, a raczej fezytizm owych „podstawowych praw przyrody”. Zaniedbana filozofia („niepotrzebna” w XIX wieku, skoro „nauki przyrodnicze wszystko wyjaśniają”) zaczęła odzywać, nowe jej działy, związane z rozwojem nauk przyrodniczych, poczęły się rozwijać, wykazując, jak nieuzasadniona była pretensja uczonych XIX w., że nauki przyrodnicze są wyjaśnieniem ostatecznym. Okazało się bowiem, że nie są one wyjaśnieniem w ogóle, skoro mówią o jedynie o związkach między rzeczami, a nie o tym, czym rzeczy są.

Upiory przeszłości żyją jednak długo. Potężny rozwój nauk przyrodniczych (i związanej z nimi technologii) wszędy i wgniół doprowadziły do tak dalece posuniętej specjalizacji, że typowym przedstawicielem nauk przyrodniczych stał się uczynek, który nosa przez całe życie nie wystawił poza swoją ciasną specjalność i który z oburzeniem patrzy na najwybitniejszego nawet kolegę z dziedziny pokrewnej, gdy osmieli się on wejść na jego terytorium. Charakterystycznym objawem tej mentalności były oburzające wypowiedzi biologów, gdy znakomity fizyk, Schrödinger, osmielił się zanalizować problem dziedziczności z punktu widzenia fizyki. Ta do przesady posunęta specjalizacja, a równocześnie kompletny brak wykształcenia filozoficznego u większości naukowców powodują, że wielu młodych zwłaszcza uczonych nawet nie przeczuwa, iż istnieć mogą problemy stanowiące podstawę ich własnej specjalności. Wystarczy przeczytać wypowiedzi na temat życia młodych, trzydziestoletnich przeważnie, biologów na lamach „New Biology”, aby zdać sobie sprawę z tego, jak dalece obce są im elementarne wiadomości z zakresu logiki, semantyki, filozofii. A równocześnie pycha i ślepa wiara, że ich wąska specjalność to cała wiedza, pociągają za sobą także wręcz już humorystyczne zjawiska, jak niedawna książka młodego matematyka Hoyle'a, który przy pomocy prostych formuł matematycznych usiłuje rozwiązać najbardziej zawile problemy współczesne.

Nie dziw więc, że wśród tych wyrobów nauki krzewi się materializm, świadomy, lub — co gorzej — nieświadomy. „Trudno spać naukowca, którego myśl nie jest przezeń opanowana” — pisze C. E. M. Joad „The Recovery of Belief”. Dopiero wyjście poza ciasne horyzonty własnej specjalności, szukanie syntezy nauk szczegółowych, próba ujęcia wszystkich zjawisk w jedną całość, wykazują uczynnym, jak zupełnie niesamowystarczalnie są nauki przyrodnicze. Odpowiadając bowiem, lepiej lub gorzej, na pytanie „jak?”, nie są one zupełnie zdolne do odpowiedzi na bardziej precyzyjne podstawowe pytanie „dlaczego?”. Z chwilą, gdy uczynek raz uświadomi sobie istotność tego pytania, nieuchronnie opuścić musi teren nauk przyrodniczych i sięgnąć poza nie.

Nie jest to droga prosta. Czasem wiedzie ona, jak w wypadku Schrödingera, do panteizmu filozofii hinduskiej, częściej jednak, po wielu latach bezpłodnych poszukiwań i lamania się z sobą, prowadzi do wiary. Ta naukowców droga do Damaszku jest ciężka i trudna. Dwudziestu lat potrzebował F. Sherwood Taylor („Man and Matter”), aby usilnie po-

szukiwanie prawdy, poprzez przeróżne filozofie i religie, zawiodło go do pewnej przystani nauki katolickiej. Przy końcu swego życia dopiero do wiary doszedł Joad, łamiąc się ze sobą, gdyż rozum wykazuje mu, że jedyną wiarą może wyjaśnić wszystkie jego wątpliwości, a równocześnie natura jego, jego przeszłość, jego pycha buntują się przeciw temu.

Nie tylko oschłość duchowa anglikanizmu, która tak Joad'a, jak i Taylora w młodości odrzuciła od wiary, odgrywa tu dużą rolę w tych wewnętrznych oporach przeciw przyjęciu wiary, ale równocześnie i cała pycha rozumu. Po tylu latach, gdy przyzwyczailiśmy się własny rozum uważać za jedyną kryterium mego postępowania — pisze Joad — muszę wrócić do czasów, gdy byłem uczniem w szkole i nieustannie zastanawiałem się nad tym „czy tak należało postąpić”. Owa pycha, która na przykład u Russella prowadzi do odrzucenia w ogóle pojęcia grzechu, jako „przestarzałego”, jest niewątpliwie jedną z podstawowych przeszkód powrotu do wiary w świecie nowoczesnym. Przyjęcie wiary nie czyni bowiem bynajmniej życia łatwiejszym, szlachetnym i znaczącym. Trzeba więc dużej odwagi intelektualnej, głębokiej miłości prawdy, aby przełamać owe opory wewnętrzne i posłuchać głosu rozumu. Trzeba zrozumieć, jak to czyni Taylor, że „jeśli nauki przyrodnicze nie potrafią wyjaśnić ostatecznych przyczyn i celu, to nie są one ostatecznym światłem przewodnim, aby mi wskazać, jak żyć”.

Z chwilą jednak, gdy te opory zostały przełamane, gdy wola nagnie się do słuchania głosu rozumu, rozum, ów rozum, który przecząca cała współczesna nauka uważa za ostateczny kryterium, nieodparcie wiedzie ku zrozumieniu, że jedyną wiarą dać może odpowiedź na wszystkie pytania i niewzruszalnie fundamenty pod całą wiedzę współczesną.

Gdy bowiem wyjdziemy poza kopce graniczne poszczególnych nauk i zastanowimy się nad tym, jakie są podstawowe problemy, na które w nauce szukamy odpowiedzi, to okaże się, jak bardzo po powierzchni tylko służą nam wyjaśnienia nauki.

Pytania te bowiem, jak pisze Taylor, są następujące:

1. Czym są rzeczy i jak są one związane z człowiekiem?
2. Co można powiedzieć o początku i o ostatecznym celu wszechświata?
3. Czy wszechświat jest w pełni zdefiniowany przez nieosobowe prawa?
4. Czy można cały wszechświat opisać przy pomocy masy, długości i czasu?
5. Jaki jest związek między myślą ludzką a światem nieorganicznym?

Jeśli nawet pytania te nie wyczerpują wszystkich zainteresowań człowieka, to nie sposób zaprzeczyć, że są one i były od w.łu już wieków przedmiotem usilnych badań najwybitniejszych myślicieli ludzkości.

Otoż zarówno Taylor, jak i Joad, po długich wędrówkach w poszukiwaniu prawdy zdecydowanie odpowiadają, że nawet na pierwsze pytanie nauka nie może dać odpowiedzi. A to zarówno ze względu na jej materiał, jak i na metodę. Choć wielu myślicieli zyma się na to, analogia Eddingtona, który porównał uczonego z rybakim, zarzucającym sieć o oku jednego ciała i ogłuszającym z tryumfem „ładna ryba w morzu nie jest mniejsza, niż jeden cal”, jest analogią zupełnie trafną. Materialem nauki są bowiem jedynie obserwacje powtarzalne i mieralne. Nauka więc, stwierdza Taylor, mówi tylko o obserwacjach, a nie o rzeczach i ich istocie. Jest więc tylko uszeregowaniem obserwacji w układ praw i teorii. I to nawet nie obserwacji ciałych, a jedynie pewnej ich abstrakcji, tej mianowicie, która mówi o liczbach, masach, długościach i o czasie. Skąd jednak wiemy, pyta Taylor, czy poza tymi cechami obserwowanej rzeczywistości nie ma nieskończonego wielu innych cech, może nawet bardziej wartościowych i istotnych, niż te jedynie, które przesłiznęły się przez sieć metody naukowej?

Odrzucając wszystko to, co niepotrzeżalne i niemieralne, wszystko to, co nie mieści się w ramach czasu i przestrzeni, nauka niesłychanie zuboża nasze poznanie otaczającego nas świata. Gdzie owe bogate obszary doznań wewnętrznych, przeżywania mistyk, zjawisk pozamysłowych, pytają Taylor i Joad. Nie dziw więc, że z chwilą, gdy wychodzi poza ciasne ramy ograniczonej swej metody, nauka jest dziwnie nieporadna. Twierdzenie bowiem, że wszystko, co nie daje się zmierzyć miedzą szkiełkiem i o-

k e n, po prostu nie istnieje, to już nie metoda strusia „nie widzę, a więc nie ma”, ale gorzej, metoda upartego dziecka „nie chcę widzieć, a więc nie ma”.

Sama więc już metoda naukowa i wyselekcjonowany jej materiał, na którym oduduje swe teorie, uniemożliwia odpowiedź na zasadnicze pytania dotyczące człowieka. Co więcej, wyklucza nawet odpowiedź na tak przecież dla całej nauki istotny problem, czy owa prawidłowość, jaką nauka wykrywa w przyrodzie, to prawidłowość obiektywnie w przyrodzie istniejąca, czy też tylko w przyrodę włożona przez umysł poznającego ją człowieka.

Istnienie bowiem prawidłowości i przyczynowości we wszechświecie „musi nauka bądź postuluować, bądź też uważać za wynik obserwacji. Gdy wątpliwy twierdzenie, że zołwie są jajorodne — mówi Taylor — lub że okres wahała dnia zmienia się z jego długością, naukowiec odpowiada nam „idź i zobacz!”. Możemy uczynić to raz, dziesięć razy, sto razy. Jaka jednak mamy pewność, że tak będzie zawsze i wszędzie? Jeśli ma to być wynik doświadczania, to oparte jest ono o ilość obserwacji bądź co bądź ograniczoną w czasie i przestrzeni. Gdy więc opieramy się na obserwacji jedynie, nie jesteśmy lepszy od kury, która, nauczona doświadczaniem, że ręka gospodyni rzuca ziarno, podejrzaje do niej nawet i wtedy, gdy ręka ta zamiast ją karmić, ukrepi jej kark. Doświadczanie więc jest nieostatecznym uzasadnieniem owej prostoty i stałości praw przyrody, która stanowi podstawę całej nauki. A jeśli nie doświadczanie, to co? Nauka na to nie ma odpowiedzi.

Nauka nie może więc istnieć bez elementu wiary. Wiara nie daje się wyznaczyć z nauki, choć — zgodnie z psychologicznymi prawami myśli — wygnanych w podświadomość — czasami piąta ziołowie figle. Czyż nie jest tymowym freudowskim przykładem stłumionej świadomości. przytoczone przez Joad'a wypowiedzenie profesora Watsona w gronie biologów w Cape Town w 1943 roku: „Ewolucja została przyjęta przez uczonych nie dlatego, jakoby była wynikiem obserwacji lub też logicznym wnioskiem z niewątpliwego materiału dowodowego, lecz tylko dlatego, że jedyną możliwą jej alternatywą to tworzenie gatunków (special creation), a to oczywiście jest nie do przyjęcia”.

Problem ewolucji zajmuje dużo miejsca zarówno w książce Joad'a, jak zwłaszcza u Taylora, który — jako biolog z zawodu — ma w tej dziedzinie najwięcej do powiedzenia. Obaj wykazują, jak nikłe są przesłanki, na

jakich zbudowana została ta teoria i jak dalece czysto przyrodniczy punkt widzenia nie może wyjaśnić przeocznym kierunkowości, nieomal celowości, chciłoby się powiedzieć, w rozwoju życia na ziemi. Nic w obserwowanych faktach — pisze Joad — nie czyni bardziej prawdopodobną hipotezę, że rozwinął ten był wynikiem powolnych zmian zachodzących w ciągu milionów lat, niż hipotezę, że został on zapoczątkowany przez Myśl Bożą i że ta Myśl Boża kieruje nim nadal przy pomocy szeregu aktów tworzenia.

Zadnemu uczonemu nie udało się dotąd, autorytatywnie stwierdza Taylor, wyjaśnić, co to jest życie, a tym bardziej, jak ono powstało. Na gruncie nauk przyrodniczych nie można również wyjaśnić, dlaczego umysł człowieka różni się bardziej od umysłu małpy, niż jej umysł od umysłu ameba. Cała więc teoria ewolucji to dziś raczej schemat łączący zaobserwowane fakty paleontologii, niż logicznie uzasadniona teoria naukowa. Tym mniej więc uzasadnione jest przenoszenie jej metod do badań o rozwoju społecznego życia człowieka, jego urządzeń i idei, jak to ostatnio stało się modne wśród biologów. Wszak — słusznie zauważa Taylor — rozwój urządzeń i myśli ludzkich nie jest wynikiem zachodzących w nim zmian dziedzicznych. A przecież te zmiany jedynie stanowią punkt wyjścia wszelkiej ewolucji.

Na równe trudności napotykać nauki przyrodnicze, gdy chcą wyjaśnić związek między myślą ludzką a jej materialnym podłożem, mózgiem. Mimo wysiłku licznej plejady uczonych, jesteśmy w tej dziedzinie w tym samym miejscu, na którym byliśmy sto lat temu. A może nawet jeszcze dalej wstecz. Sto lat temu bowiem można było jeszcze przypuszczać, że dalszy rozwój nauki znajdzie odpowiedź na to pytanie. Dziś nawet tej nadziei nie ma. Gdzież bowiem — słusznie pyta Joad — mamy dowód na to, że ilekroć umysł ludzki rozważa powideczny formułę matematyczną, to następować musi jakaś zmiana w materii? Gdzież dowód na to, że umysł nie może działać poza materią? Jak wyjaśnić na gruncie przyrodniczym, że oko, ucho i mózg, składające się z bezbarwnych, bezzwźwięcznych cząsteczek, przemieniają inne, również bezbarwne i bezzwźwięczne cząsteczki na barwę i głos? Czyż nie jest — pyta Taylor — absurdem sądzić, że prosty zbiór cząsteczek może utworzyć pojęcie oderwane? Czy możemy sobie wyobrazić maszynę, która ma świadomość swobodę wyboru, samorzutną twórczość?

Jeśli bowiem przyrodnik, stawiając

hipotezę epifenomenalnego zmu, twierdzi „nie znam niczego, poza mózgiem, co mogłoby być siedzibą myśli”, to psycholog musi mu odpowiedzieć „a ja nie znam niczego w fizyce i chemii, co mogłoby być źródłem świadomości”. Cały błąd polega więc na tym, że równie absurdalnym jest dążenie do badania myśli ludzkiej metodami fizycznymi, jak badanie zjawisk fizycznych wyłącznie konstrukcjami myślowymi.

Tę przepaść między myślą a materią nie można przekroczyć na gruncie przyrodniczym. Jedynym wytłumaczeniem, które stanowi most nad tę przepaść, to założenie, że źródłem świadomości jest połączenie elementu duchowego z elementem materialnym w człowieku, stanowczo stwierdza Taylor.

Jeśli więc nauka nie potrafi, nie wychodząc poza krąg własnego systemu, we wszystkich bez wyjątku dziedzinach nauk przyrodniczych wyjaśnić podstawowe pytania „dlaczego?”, jeśli jest niezdolna nawet do uzasadnienia prawidłowości i przyczynowości, jakie obserwuje, to czyż można od niej oczekiwać, aby dała odpowiedź na znacznie przecież trudniejsze pytanie „po co?”, aby była, jak chce Russell, jedynym wskazaniem, jak człowiek ma postępować?

Ostatnia wojna doszczętnie obalila ślepa wiarę w samorzutny postęp, który ma przynieść ludzkości szczęście bez wysiłku z jej strony. Zanikły głos, że rozwój nauki jest gwarancją uwolnienia ludzkości z brzmienia zła. Na odwrót, dominantną wypowiedzi we wszystkich krajach świata wolnego stał się obawa, czy zbyt wielką potęgą, jaką nauka daje człowiekowi, nie będzie źródłem jeszcze większych nieszczęśliwości w przyszłości. Czyż to, co widzieliśmy, pyta słusznie Joad, nie jest najlepszym dowodem arogancji i pedu do władzy u człowieka, jego brutalności i okrucieństwa, najniższych popędów, drzemających w jego duszy? Ani teoria o wpływie warunków zewnętrznych, jako źródła norm postępowania człowieka, ani o jego dążności do „dostosowania się do otoczenia” nie mogą wyjaśnić faktów, na które wszyscy patrzyliśmy niedawno, wymownie wykazuje Joad, ogromu zła, tkwiącego w jego sercu i dążenia do dobrego, które zło to stara się opanować. Jedynym tu wytłumaczeniem, które wyjaśnia wszystko bez reszty, to dogmat o grzechu pierwotnym i nauka o Łasce.

Ale to jest już poza naukami przyrodniczymi. W naukach tych bowiem na pewno nie można znaleźć nawet odpowiedzi na to, co jest dobre, a co zło. Nauka zbiera i objaśnia fakty, ale ich nie wartościuje. Co więcej, jak dodaje Taylor, głosząc, że czyni człowieka są następstwem przemian materialnych w jego mózgu, nauki przyrodnicze raczej osłabiają instynkt moralny. Jeśli wszystko dzieje się poza moją wolą, po co mam choćby czynić dobrze?

Również i psychologia nie jest tu ratunkiem. Mówi nam ona „jak”, lecz nie mówi „po co”. A nawet, gdyby rozumowanie zdolne było wykazać mi, że to jest dobre, a tanto zło, to dlaczego ja mam chcieć dobra, a nie zła? Odpowiedzi na to nie znaleźliśmy ani w naukach przyrodniczych, ani w psychologii. Podstawą bowiem mojej decyzji, mojej woli, musi być coś, co jest poza mną i co jest wyższe ode mnie. Coś, co jest nadprzyrodzone.

Toteż, z mocą stwierdza Taylor, w naukach przyrodniczych nie znajdziemy odpowiedzi na najbardziej istotne pytania, które dręczą człowieka, ani tym bardziej wskazać, jak mamy postępować. Jakkolwiek więc nauki przyrodnicze ułatwiają człowiekowi panowanie nad światem, jakkolwiek zaspakają one jego ciekawość w pewnym zakresie, muszą pozostawić uczuciu niedosytu u każdego, kto nie chce się zadowolić tylko sliżaniem po powierzchni, lecz szuka odpowiedzi na zasadnicze pytania dotyczące istoty bytu.

I to jest pierwszy krok na drodze do Damaszku każdego naukowca, który odważnie szuka prawdy. Krok najcięższy. Il n'y a que le premier pas qui coûte. Trzeba bowiem przełamać wszystkie nawyki myślowe, całą naiwną wiarę w pełną wystarczalność nauki, pychę wreszcie uczonego, która wywyższa go w jego mniemaniu nad otaczający tłum ludzi, niezadowolony do oparcia wszystkiego na ludzkim tylko rozumie. Spotykając się z takim uczonym, jak słusznie zauważa Joad, słyszy się nieomal słowa „dzięki Bogu, ja nie jestem taki, jak inni ludzie!”.

Z chwilą jednak, gdy przejdzie się

ten pierwszy, tak trudny wewnętrznie etap, gdy z oczu spadną laski uprzedzeń, gdy zacznie się patrzeć na otaczającą przyrodę otwartymi oczyma, wtedy ze zdumieniem spostrzeże się, że nauki przyrodnicze nie tylko, że nie wykluczają Boga z przyrody, ale — wprost na odwrót — przymuszają do wprowadzenia Go, choćby tylko jako „najprawdopodobniejszej hipotezy”.

Jedynie bowiem Bóg, jako Stwórca i Prawodawca, może wytłumaczyć owe istnienie prawidłowości i prostoty podstawowych praw przyrody. Jeśli „prawa przyrody” — pisze Joad — stworzone zostały przez Myśl Bożą, to czyż nie wykazują one tych własnych i wszystkich cech, których w dziełach Myśli Bożej możemy oczekiwać? Istnienie praw, ich przedziwna logika — prostota nie są więc, jak sądził materialista zeszłego stulecia, dowodem, że „świat nie został stworzony”, ale wręcz na odwrót, są najmowniejszym argumentem za jego stworzeniem. Zegarmistrz, twierdzi Joad, nie tylko wykonuje zegarek, ale również — określa prawa zezwalające na samoczynne jego działanie.

Podobnie, jak już wspomnieliśmy wyżej, zjawiska duchowe człowieka nie dadzą się wyjaśnić na gruncie czysto przyrodniczym, lecz wymagają założenia współistnienia w człowieku elementu duchowego wraz z elementem materialnym. A ten element poza-materialny, tak jawnie manifestujący się np. w zjawiskach i postępkach pozamysłowych, zmusza z kolei do przyjęcia, dla jego wyjaśnienia, istnienia Czystego Ducha, Boga.

W ten więc sposób wyjście poza czysto eksplikacyjne teorie nauki przyrodniczych, pytanie nie tylko „jak?”, ale i „dlaczego?” prowadzi prostą drogą do Boga, Boga transcendentnego, Stworzyciela i Prawodawcy.

Gdy jednak przyjrzymy się bliżej życiu na ziemi, gdy zechcemy wyjaśnić ową tak jasno widoczną linię przewodnią ewolucji, jej docelowość, nie ulegającą już dziś wątpliwości, nawet w dziedzinie genetyki, znowu czysto przyrodnicze tłumaczenia zawadzą i konieczną staje się „hipoteza” Myśli Bożej, nie transcendentnej tym razem, ale immanentnej.

A gdy raz, po odrzuceniu przesądów rzekomo „naukowych” zrozumiemy, że jedynie Bóg, Bóg transcendentny i Bóg immanentny najlepiej wyjaśnią nam wtedy wszystkie zjawiska przyrody, wtedy upadną i sztuczne zapory, jakie nauka usiłowała stawiać zjawiskom nadprzyrodzonym.

Jest rzecz jasną, mówi Taylor, że każdorazowa bezpośrednia ingerencja Boga jest zdolna zmienić ustalone przez Niego prawa przyrody. A wtedy nie ma żadnych podstaw, aby odrzucać cuda jako zjawiska jednorazowe, niepowtarzalne, a więc siłą rzeczy nie mieszczące się w ciasnych ramach surowca nauk przyrodniczych. Wtedy przyrodzone i nadprzyrodzone stają się tylko różnymi objawami tej samej rzeczywistości, wtedy staje się jasnym, że poznanie pozamysłowe, ze doświadczenia mistyków są równie dobrą drogą gościa do zrozumienia świata, jak i metody nauk przyrodniczych. Wtedy również nie trzeba się uciekać do sztucznego i nie dającego się pogodzić z faktami freudowskiego „kompleksu ojca” dla wyjaśnienia od niepamiętnych czasów wrodzonego ludzimu poczucia religijnego, gdyż staje się oczywistym, że poczucie to jest tylko mniej lub więcej doskonałym odbiaskiem rzeczywistości, istniejącej poza człowiekiem.

A więc przyjęcie Boga jako „najprawdopodobniejszej hipotezy” dla wyjaśnienia całości obserwowanych na zewnątrz nas i w naszym wnętrzu zjawisk — jest to krok drugi na naukowców drodze do Damaszku. Krok trzeci — przyjęcie wiary, którego rozum nakazuje, wymaga już współdziałania woli ludzkiej i Łaski. Jakże wzruszającym jest przykład Joad'a, który w ostatniej swej przed śmiercią książce z głęboką szczerością przedstawia wszystkie opory, jakie cała jego natura ludzka, cała jego przeszłość przeciwstawiała temu ostatniemu, decydującemu krokowi. Aby wreszcie po wiedzcie sobie „nie będziesz wierzył przeciw ościomowi”.

Ciężka to droga, pełna walk wewnętrznych, łamania przyzwyczajeni myślowych, zmagania się z ludzką pychą. Gdy jednak przejdzie się ją do końca, umysł odnajduje zrozumienie rzeczy, a serce spokój. Ten przedziwny spokój, który tak charakterystycznym tonem przepaja zarówno książkę Taylora, jak i Joad'a.

Tadeusz Felsztyn

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO

„VERITAS”

12, Praed Mews, London, W. 2.

SUBSKRYPCJA

na nowy tom BIBLIOTEKI POLSKIEJ

MIECZYŚLAW LISIEWICZ

GDZIE GORĘCEJ BIJA SERCA

Powieść dla młodych i starych.

Raz do roku wychodzi w BIBLIOTECE POLSKIEJ książka szczególnie pogodna i przelietniona wiarą w życie, tak przy tym wybrana, by stanowić lekturę równocześnie dla młodzieży i dla starszego czytelnika. W ubiegłym roku taką książką były „Wspomnienia niebieskiego munda” Wiktora Gomułickiego.

Na ten rok wybieramy nową powieść M. Lisiewicza, autora „Kronik naroczańskich” i „Tropu nad jeziorem”. Z humorem i sentymentem, ze szczególnie cechującą tego p. sara miłością do przyrody oczystej — opowie o młodym o Polsce, której nie pamiętają, a starym przypomni ich „bezgrzeszne lata”.



Termin nadsyłania przedpłaty w kwocie 8/6+6d. (dol. 1.50) za przesyłkę upływa 30 września 1954 r.

Po ukazaniu się książki kosztować będzie 15/-. Prosimy nie zwlekać z zamówieniem. Czeki, przekazy pocztowe (P.O. i M.O.) na „Veritas Foundation”.

Z E ŚWIATA KATOLICKIEGO

Konkurs sztuki chrystologicznej. W roku bieżącym „Pro Civitate Christiana” rozpisano konkurs na prace malarskie przedstawiające Jezusa Boskiego Robotnika. Obecnie konkurs został w Asyżu rozstrzygnięty: pierwszą nagrodę otrzymał Dilvo Lotti z San Miniato, drugą Giulio Marchetti z Lukki, ponadto przyznano trzy równe trzecie nagrody, a trzynastce innych dzieł dopuszczono na wystawę Jezusa Boskiego Robotnika, otwartą 29 sierpnia w Asyżu. Równocześnie odbył się tam XII Kurs Studiów Chrześcijańskich, trzy wczasy sztuki dramatycznej i popisy Akademii św. Cecylii, przy czym wyjątki z Ewangelii o Matce Boskiej były komentowane muzyką Da Vittoria, Monteverdi, Pergolesiego, Bacha, Sibeliusa, Respighiego, Refice i innych.

600-lecie św. Augustyna. Z racji przypadającej 13 listopada rocznicy urodzin św. Augustyna (w roku 354) Papież wystosował pod datą 25 lipca list do przełożonych generalnych tych rodzin zakonnych, które kierują się regułą tego wielkiego Doktora Kościoła. Jakkolwiek — pisze Ojciec św. — powołując się na św. Augustyna — Kościół katolicki nie zwykł obchodzić urodzin swoich Świętych z wyjątkiem Matki Boskiej i św. Jana Chrzciciela, to jednak nie można pojąć milczeniem przypadającej w tym roku 1600 rocznicy przyjścia na świat św. Augustyna. Przypomniemy tu tej rocznicy przysięgając dwa cele: po pierwsze, pełniejsze poznanie nauki św. Augustyna, która nie tylko wykryła i zwalczyła błędy mu współczesne, lecz także dostarcza czasom dzisiejszym argumentów do zwalczania obecnych błędów; po drugie, przejście się przykładem, jaki daje św. Augustyn w swoim notam i duchem apostołskim. Wielkość św. Augustyna wysławiali Papież, Sobory, Ojcowie i Doktorowie Kościoła i Pius XII cytując św. Hieronima, Leona XIII z encykliki „Aeterni Patris” i Piusa XI z encykliki „Ad Salutem” na 1500-lecie rocznicę zgonu św. Augustyna. Zastanawiać się nad życiem św. Augustyna i wertować jego mądre pisma jest wielkim pożytkiem przede wszystkim dla tych, co jeszcze pogrążeni są w grzechach, ale pragną się od nich uwolnić, niemniej także dla tych, co błądzą po ścieżkach z dala od wiary katolickiej, lecz pragną i łaską prawdy. Papież cytując wyjątek z „Wyznań” augustyńskich: „Nieszczęśliwy człowiek, który wie wszystko, Ciebie zaś nie zna, Panie Boże mój: szczęśliwy atoli ten, kto Ciebie zna, choć aby nie wiedział wszystkiego innego.” Wspomina też Papież, że czytając pisma św. Augustyna odnosi się do powszechności czyli katolickości Kościoła Newman, jak o tym sam wspomina w swej „Apologii”, znalazł drogę do prawdziwego Kościoła. Konając list, Papież zwraca się do zakonów posługujących się regułą św. Augustyna, wskazując, że im przede wszystkim św. Augustyn niech będzie zachętą do świętości i wzorem.

Opieka duchowna w więzieniach. We Fryburgu szwajcarskim odbył się Katolicki Kongres Asystentów Duchownych w Więzieniach. Wzięło w nim udział 350 księży z różnych krajów. Przedmiotem obrad było katolickie pojęcie kary i więzienia oraz konsekwencje, jakie z tego pojęcia wypływają w praktyce w wyborze rozwiązań odnośnych problemów.

Przebaczenie dla autora „Don Camilla”. Pisma włoskie i opublikowały pośmiertny list De Gasperiego, w którym zmarły chrześcijański mąż stał się przebacza autorowi „Don Camilla”, Giovanniemu Guareschiemu, który osiadł w karę więzienia za wyrokowanie w wydawanym przez siebie piśmie listów jakoby podpisanych przez De Gasperiego, co zostało wykazane jako fałsz, a co zmarły uważał za znieważenie.

Nowy przewodnik po zbiorach watykańskich. W Rzymie u Bardigo ukazal się nowy „Itinerario pittorico dei Musei Vaticani”, omawiający w sposób naukowy i zachęcający do dalszych studiów bogactw malarskich kaplicy Mikołaja V, apartamentów Borgia, stanz i loggii Rafaela, kaplicy Sykstyńskiej i Pawłowej i Pinakoteki Watykańskiej. Na uwagę zasługują zwłaszcza strony poświęcone Rafaelowi i Michałowi Aniołowi. Autorem przewodnika jest dr Decioleto Redig de Campos, asystent dyrektora Muzeów Watykańskich.

NAJWIĘKSZA DIECEZJA W POLSCE
Największą pod względem obszaru jest w Polsce diecezja gorzowska na Ziemiach Odzyskanych, gdyż obejmuje 44 229 km kwadratów. Jest ona pięćkrotnie większa od diecezji gnieźnieńskiej a osmiokrotnie większa od diecezji katowickiej. Po niej idzie diecezja wrocławska (24.497 km kw.) i warmińska (20.014 km kw.). Najmniejsza w Polsce jest diecezja gdańska. Liczy ona 1.892 km kw.

Na terenie diecezji gorzowskiej znajduje się obecnie ponad tysiąc kościołów i kaplic pomocniczych. Przedostatnią wojną ilość kościołów nie dochodziła tutaj do stu. Razem z ludnością polską na ziemie zachodnie wrócił również i Kościół katolicki, wyparty stąd przez reformację luterancką.

NAZNACZONA PRZEZ BOGA

Geniusz narodu francuskiego posiada liczne oblicza. Zaden inny narod chyba nie przyczynił się w takim stopniu, co naród francuski, do nadania kierunku kulturze europejskiej i do napalenia jej głęboką, wartościową treścią. Udział francuski w twórczości duchowej świata zachodniego jest olbrzymi i przodujący. Cechą geniuszu francuskiego jest odwaga myślenia, dojrzałość wewnętrzna, która pozwala bez oglądania się na innych podejmować akcje, torować drogę innym raczej niż iść w drugim szeregu.

Korzenie geniuszu francuskiego sięgają głębokich pokładów. Czerpie on ze źródeł ciągle odnawiających się zespolenia z Bogiem, Francją, najistotniejszą córką Kościoła, której wspaniałe świątynie są niezrównanymi znakami jej pobożności, jest matką nieskończonego szeregu świętych.

Tak, to prawda, niejedną sobie pomyśl, ale tylko jeśli chodzi o przeszłość. Wszak Francja współczesna, to ateizm, antyklerykalizm, to masy skomunizowane, skłócenie polityczne, chaos i bezwład, jednym słowem upadek i rozkład w każdej dziedzinie. Na n wie francuskiej nie kwitną już kwiaty świętości.

Przypomnijmy sobie jednak, że św. Teresa z Lisieux była mniej więcej rówieśniczką obecnego papieża Piusa XII i Winstona Churchilla. A i w bliższej nam generacji nie brak wzlotów do Boga, nie brak oślepiających niemal promieni łaski padających na dusze francuskie, które się na ich przyjęcie otwierają i których życie i świadectwo zadają kłam powierzchownym sądom o duchowym upadku Francji.

Uplwya właśnie jedenaście lat od śmierci Simone Weil, której krótkie życie (zmarła w wieku lat 34) było wypełnione poszukiwaniem Boga. Zmarła „na progu Kościoła”, którego dogmaty i zasadniczą doktrynę akceptowała, ale którego progę przestąpić nie zdecydowała się do samego końca z powodu pewnych wewnętrznych przeszkód.

Simone Weil urodziła się 3 lutego 1909 r. w Paryżu jako córka lekarza. Wychowana była przez rodziców i brata w kompletnym agnostycyzmie. Ale według jej własnych słów, od najmłodszych lat coś ją pociągało ku

chrześcijaństwu. „Mogłabym powiedzieć o sobie, że urodziłam się, wzrastając i rozwijając się w atmosferze, w której nie było niczego poza chrześcijaństwem” — stwierdza w jednym ze swych listów. W szkole oznaczała się niezwykłą zdolnością. W Collège Henri IV przygotowywała się do egzaminu wstępnego do Ecole Normale. W Henri IV wykładał wówczas znany filozof Alain (niedawno zmarły), który wywarł na nią głęboki wpływ. W 1928 r. przyjęła została do Ecole Normale, mając lat 19, a w 3 lata później ukończyła ją ze stopniem „agrégée” filozofii (tj. ze stopniem odpowiadającym do nauczania, oświadczającym naszemu lektoratowi). W Ecole Normale należała do grupy „antitala” (określenie studentki dla oznaczenia wolnościowców). Gdy jeszcze jako dziecko 10-letnie okazywała sympatię dla komunizmu, teraz nawiązała kontakt z ruchem robotniczym związków zawodowych i z „Révolution Proletarienne”. I w późniejszym życiu nie straciła kontaktu z tymi organizacjami, jednak nie wstąpiła do żadnego stronnictwa. Zainteresowanie klasą pracującą wynikało u niej z żywo odczuwanego współczucia dla uciskanych i nieszczęśliwych. Miłość bliźniego była jej drogowskazem życiowym od najmłodszych lat i pozostała nim do końca.

Pierwszą posadą nauczycielską Simone Weil była w Le Puy. Zetknęła się tam z niedzą i niedolą ludzką, którą głęboko odczuwała i na którą reagowała w charakterystyczny sposób. Aby uzyskać zasiłek, bezrobotni musieli wykonywać ciężką pracę, np. rozłupywać kamienie. Simone chciała na równi z nimi łuc kamienie, towarzyszyła bezrobotnym do prefektury i była ich rzeczniczką wobec władz. Postanowiła sobie nie wydawać na swoje potrzeby więcej niż wynosił zasiłek dla bezrobotnych, którym rozważała nadwyżkę swych dochodów. Toteż w dniu, kiedy młoda wykładowczyni filozofii otrzymywała pensję, tworzył się cały szpal bezrobotnych przed jej mieszkaniem. Dawała im nie tylko pieniądze, ale i swój czas — koszem ulubionego czytania książek — grając z nimi w belote, śpiewając z nimi i w ogóle rozpluwając się w masie tej biedoty. Ale nie dosyć tego, posunęła się o jeden krok dalej: wstąpiła jako robotnica do fabryki lancuchów na ciężką pracę, która przerastała jej siły i która osłabiła jej zdrowie i prawdopodobnie skróciła życie. „Gdy pracowałam w fabryce — pisze w jednym ze swych listów — nie odróżniając się w niczym, nawet w własnym oczach, od tej anonimowej masy, cierpienie innych wzięło mi się w ciało i w duszę. Nic mnie od niego nie oddzielało, gdyż w rzeczywistości zapomniałam o swej przeszłości i nie oczekiwałam niczego od przyszłości, bo trudno mi było wyobrazić sobie możliwość przetrwania przy życiu, tak byłam zmęczona”.

W 1936 r. wyrwała się na krótko do Hiszpanii, by wziąć udział w tamtejszej wojnie domowej, jednak wypadek jakiś, któremu uległa, spowodował, że wróciła niemal natychmiast.

W 1938 roku spędziła Wielki Tydzień w Solesmes, a w parę miesięcy później dokonał się w jej duszy przełom. „Chrystus zastąpił na mnie i wziął mnie w posiadanie” — wędruje jej słów. Niewiele jednak o tym doznaniu mówiła czy pisała do przyjaciół. Była to jej tajemnica zazdrośnie strzeżona.

Wojna zastała ją w Paryżu, który opuściła dopiero wtedy, gdy nadano mu charakter miasta otwartego. Pojechała na południe, do Marsylii, gdzie zaprzyjaźniła się z dominikaninem o Perrin i Gustawem Thibon, później jej biografią. W okolicy Marsylii pracowała jako robotnica rolna w winnicach doliny Rodanu. Znajdowała jednak czas na pracę literacką, oryginalną, tłumaczenia z Homera i Pitagoreanczyków, historyczno-literackie szkice religijne (później zebrane w książce „Attente de Dieu”). A choć sama należała do kategorii osób przesławianych jako Żydówka, nie ustawała w poszukiwaniu ludzi cierpiących i upodlegzonych, którym pomagała i których los starała się osłodzić.

Była przez wniczką reżymu Petaina i zwolenniczką gen. de Gaulle. Razu pewnego znalazła się przed sądem z tego powodu. Sędzia zagroził jej, lektores filozofii, karą więzienia i dla zastrzyka jej, umieszczeniem w celi z prostytutkami. Gdy Simone wyraziła zadowolenie tłumacząc, że zawsze pragnęła poznać tego rodzaju osoby i stwierdziła, że jedyną drogą dla niej było znalezienie się wśród nich w więzieniu, sędzia postanowił ją zwolnić jako osobę niespełna rozumu.

Zbliżały się wówczas do ruchu „Témoignage Chrétien” i gorąco go pro-

pagowała. Był to okres, kiedy jej dążenia do Boga przyjęły formy bardzo określone i wyrażały się w częstych odwiedzinach kosciołów, uczestnictwie we Mszy św., rozczytywaniu się w Pismie św. i dyskusowaniu tematów religijnych z gronem przyjaciół.

W maju 1942 r. wyjechała z rodzicami do Ameryki. Tam znówu los Murzynów bardzo wzięła sobie do serca. Kłós obserwując jej głęboką i współczucie i zainteresowanie dla tych upodlegzonych i cierpiących bliźnich, stwierdził: „Jest rzeczą pewną, że gdyby Simone dużej pozostała w Nowym Jorku, byłaby się stała Murzynką”.

W końcu listopada 1942 r. zamieszła się w Londynie, gdzie pracowała z wyłączeniem i samozaparcem w organizacji Wolnych Francuzów. Umiera 24 sierpnia 1943 r., nie przestając wyrażać formalne prognozy Kościoła.

W pismach i wypowiedziach Simone Weil znaleźć można mnóstwo herezji i nieścisłości dogmatycznych. Ale przecież jej życie i jej praca duchowa wycisnęły głębokie piętno w świadomości katolików, szczególnie na terenie Francji, jej nieustające na chwilę dążenie do dobra w jego najistotniejszej i najczystszej formie, jej piagnienie zniżenia się do Boga, jej walka z przynależnością i miernotą w życiu. Kościoła, wstrząsnęły wielu duszami i stanowią potężny podkład do oczyszczenia wiary i miłości chrześcijańskiej z natłotów opóźniających swym ciężarem pochod ku Bogu. Potwierdziła ona swymi czynami i formułowanymi swymi myślami, nawołując do nowej ścisłości, świętości dostosowanej do potrzeb i wymogów doby obecnej.

Simone Weil była nieprawomysłna pod różnymi względami, błądziła po manowcach, ale jej miłość i pragnienie Boga i jej miłość bliźniego, zwłaszcza cierpiącego, były tak intensywne, tak ponad miarę przeciętności, że widzieć w tym alaryę szczególnej działości miłości. Chociaż pozostała poza obrębem Kościoła, odegrała doniosłą rolę w jego życiu nawołując najpiękniejszą częścią swego przykładu do świętości na codzień.

M. Ch. (Na podstawie przekładu książki o J. M. Perrin i G. Thibon: „Simone Weil, as we knew her”, London, Routledge & Kegan Paul, 1953.)

Wojna zastała ją w Paryżu, który opuściła dopiero wtedy, gdy nadano mu charakter miasta otwartego. Pojechała na południe, do Marsylii, gdzie zaprzyjaźniła się z dominikaninem o Perrin i Gustawem Thibon, później jej biografią. W okolicy Marsylii pracowała jako robotnica rolna w winnicach doliny Rodanu. Znajdowała jednak czas na pracę literacką, oryginalną, tłumaczenia z Homera i Pitagoreanczyków, historyczno-literackie szkice religijne (później zebrane w książce „Attente de Dieu”). A choć sama należała do kategorii osób przesławianych jako Żydówka, nie ustawała w poszukiwaniu ludzi cierpiących i upodlegzonych, którym pomagała i których los starała się osłodzić.

Była przez wniczką reżymu Petaina i zwolenniczką gen. de Gaulle. Razu pewnego znalazła się przed sądem z tego powodu. Sędzia zagroził jej, lektores filozofii, karą więzienia i dla zastrzyka jej, umieszczeniem w celi z prostytutkami. Gdy Simone wyraziła zadowolenie tłumacząc, że zawsze pragnęła poznać tego rodzaju osoby i stwierdziła, że jedyną drogą dla niej było znalezienie się wśród nich w więzieniu, sędzia postanowił ją zwolnić jako osobę niespełna rozumu.

Zbliżały się wówczas do ruchu „Témoignage Chrétien” i gorąco go pro-

pagowała. Był to okres, kiedy jej dążenia do Boga przyjęły formy bardzo określone i wyrażały się w częstych odwiedzinach kosciołów, uczestnictwie we Mszy św., rozczytywaniu się w Pismie św. i dyskusowaniu tematów religijnych z gronem przyjaciół.

W maju 1942 r. wyjechała z rodzicami do Ameryki. Tam znówu los Murzynów bardzo wzięła sobie do serca. Kłós obserwując jej głęboką i współczucie i zainteresowanie dla tych upodlegzonych i cierpiących bliźnich, stwierdził: „Jest rzeczą pewną, że gdyby Simone dużej pozostała w Nowym Jorku, byłaby się stała Murzynką”.

W końcu listopada 1942 r. zamieszła się w Londynie, gdzie pracowała z wyłączeniem i samozaparcem w organizacji Wolnych Francuzów. Umiera 24 sierpnia 1943 r., nie przestając wyrażać formalne prognozy Kościoła.

W pismach i wypowiedziach Simone Weil znaleźć można mnóstwo herezji i nieścisłości dogmatycznych. Ale przecież jej życie i jej praca duchowa wycisnęły głębokie piętno w świadomości katolików, szczególnie na terenie Francji, jej nieustające na chwilę dążenie do dobra w jego najistotniejszej i najczystszej formie, jej piagnienie zniżenia się do Boga, jej walka z przynależnością i miernotą w życiu. Kościoła, wstrząsnęły wielu duszami i stanowią potężny podkład do oczyszczenia wiary i miłości chrześcijańskiej z natłotów opóźniających swym ciężarem pochod ku Bogu. Potwierdziła ona swymi czynami i formułowanymi swymi myślami, nawołując do nowej ścisłości, świętości dostosowanej do potrzeb i wymogów doby obecnej.

Simone Weil była nieprawomysłna pod różnymi względami, błądziła po manowcach, ale jej miłość i pragnienie Boga i jej miłość bliźniego, zwłaszcza cierpiącego, były tak intensywne, tak ponad miarę przeciętności, że widzieć w tym alaryę szczególnej działości miłości. Chociaż pozostała poza obrębem Kościoła, odegrała doniosłą rolę w jego życiu nawołując najpiękniejszą częścią swego przykładu do świętości na codzień.

M. Ch. (Na podstawie przekładu książki o J. M. Perrin i G. Thibon: „Simone Weil, as we knew her”, London, Routledge & Kegan Paul, 1953.)

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

ODPOWIEDZ KARDYNAŁA FELTINA NA LIST GRAHAM GREENE' A. W liście otwartym, ogłoszonym przez „Figaro Littéraire”, Graham Greene poddał krytyce decyzję Kardynała Arceybiskupa Paryża, odmawiającą pogrzebu kościelnemu zmarłej niedawno powieściopisarki francuskiej Colette. List Greene'a i odpowiedzi „La Croix” zamieściliśmy w poprzednim nrze ZYCIA. Arceybiskup Paryża ogłosił oświadczenie, w którym podkreślił, że uważa za swój obowiązek wypowiedzieć kilka krótkich uwag.

„Zapomina Pan — pisze Kardynał Feltin — że Kościół katolicki, apostołski i rzymski, jest stowarzyszeniem, które jako takie posiada swe ustawy, i daje się Pan w szczególności ignorować te ustawy, która dotyczy pogrzebu religijnego. Zanim się podejmie dyskusję o tym, należy poznać te ustawy.”

„1. Człowiek ochrzczony może mieć prawo do religijnych obrzędów pogrzebowych pod warunkiem, że przez swe stanowisko nie wywrzeli się przynależności do tego stowarzyszenia, którego członkiem został przez chrzest. Jeśli je opuścił dobrowolnie i swobodnie, Kościół nie chce mu narzucać swych obrzędów; byłoby to sprzeczne z lojalnością.”

„2. Prawdą jest, że inne osoby były niekiedy, w analogicznych okolicznościach, chowane po katolicku. Albo jednak osoby te wykazały przed śmiercią objawy pokuty, albo też sam Kościół mógł być wprowadzony w błąd co do ich rzeczywistej sytuacji. W tym wypadku to nie zachodzi.”

„3. Jeśli niektórzy ludzie byli zgorznięci tą decyzją, to nie są to „umysły poinformowane” („esprits avertis”). Umysły takie byłyby zgorzzone pogrzebem religijnym. Jako dowód niech służy liczne świadectwa, jakie otrzymałem w wyniku Pańskiego artykułu.”

„4. Odmowa modłów publicznych w żadnym wypadku nie oznacza zakazu modlitw prywatnych za zmarłego. Co więcej, młodsierdzi, na które się Pan powołuje, skłania do odmawiania takich modlitw, by zmarłemu dana została łaska przebaczenia przez Boga Miłosiernego, który sam jeden, jak Pan uznaje, może „decydować, gdzie się zaczyna błąd, gdzie kończą się zasługi”.”

List Kardynała Feltina wywołał ożywioną dyskusję, której pokłosie wydrukowane zostało w dwóch kolejnych numerach „Figaro Littéraire”. Duża większość odpowiadających całkowicie solidaryzowała się z jasnymi i precyzyjnymi stwierdzeniami Kardynała.

Redakcja „Figaro Littéraire” przesłała Grahamowi Greene teakst artykułu z „La Croix”, który przytoczyliśmy w poprzednim numerze ZYCIA, na co otrzymała odpowiedź następującej treści: „Many thanks for the article from „La Croix” which is more moderate than one would have expected”.

Jak stwierdza ks. Józef Falkowski, „członkowie wydziału indywidualnie i zbiorowo podejmowali wielokrotnie szereg akcji: na terenie toczącej się dziesiąt walki o utrwalenie pokoju w świecie. Demaskowali antychrześcijańskie i antyhumanitarne aspekty tych wystąpień i poczynają, które w ostatecznym rezultacie musiałyby przynieść totalną zagładę bogactwa cywilizacji współczesnej. Afirmowali również przy wielu okazjach słuszność i historyczną konieczność społeczno-ekonomicznych przeobrażeń, których celem jest sprawiedliwość dla pokrzywdzonego człowieka”.

Odezwę profesorów teologii Uniwersytetu Warszawskiego spotkały się ze stanowczym potępieniem wśród katolików w kraju i za granicą, gdyż nosiły charakter propagandy komunistycznej i synchronizowane były z polityczną akcją w Polsce. Z drugiej strony katolicy w Polsce zdają sobie sprawę z niezwykle trudnej sytuacji wydziału teologii na Uniwersytecie Warszawskim. (IC)

ZAGŁADA GHETTA WARSZAWSKIEGO. Pod redakcją Filipa Friedmana ukazała się książka pt. „Martyrs and Fighters”, opijająca historię eksterminacji żydowskiej ludności Warszawy przez hitlerowców ze szczególnym uwzględnieniem powstania w getcie w r. 1943 (Routledge and Kegan Paul, cena 21 sh.).

ZGON MATKI POLI NEGRI. W Stanach Zjednoczonych w domu swej córki w Beverly Hills zmarła w wieku lat 93 Apolonia Chałupiec, matka znanej aktorki filmowej Poli Negri.

TEOLOGIA NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM

W roku obecnym przypada 10-lecie powojennej pracy wydziału teologii katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego. Wydział ten znajduje się obecnie pod kierownictwem „księdza-patrioty”, czynnego w pro-komunistycznej akcji profesora Jana Czuję, przewodniczącego Głównej Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Frontie Narodowym, skupiającej w swych szeregach pro-reżymowych księży i katolików świeckich.

Wydział odbudowany został w roku 1945. Początkowo prowadzono wykłady w lokalach tymczasowych w Sewerynie, a następnie przeniesiono je do budynku seminarium arceybiskupiego na Krakowskim Przedmieściu, oddanego wydziałowi do użytkowania przez władze kościelne. W budynku tym pozostał wydział aż do dnia dzisiejszego.

Przed wojną wydział teologii katolickiej U. W. prowadził wyłącznie specjalizację teologiczną w poszczególnych gałęziach swej wiedzy. Po wojnie jednak uzyskał w kwietniu 1945 roku zezwolenie władz kościelnych przyjmowania na swe studium alumnów duchownego seminarium warszawskiego i prowadzenia całości studiów teologicznych.

Od roku 1946 wydział uruchomił eksperymentalnie sekcję czwartą: katechetyczną, z prawem nadawania stopnia magisterskiego. Na sekcję tę wstępują obok duchownych także osoby świeckie, pragnące uzyskać kwalifikację uniwersyteckie dla nauczania religii. Obecnie czynione są starania o utworzenia katedry katechetyki.

Od 23 maja 1945 roku do 21 sierpnia 1948 roku dziekanem wydziału był ks. prof. dr W. Kwiekowski. Po nim dziekanem został ks. prof. dr Jan Czuj, profesor zwyczajny na katedrze teologii. W czasie kadencji ks. prof. Czuj-

Wydział prowadzi wykłady w zakresie trzech, zasadniczo odrębnych specjalności: teologii, prawa kanonicznego i filozofii chrześcijańskiej. Katedry posiadają własne pracownie, przeprowadzają badania naukowe, zaplanowane na okres kilkunastoletni, korzystają też z pomocy innych wydziałów, gdyż zobowiązują część swoich słuchaczy do egzaminów i ćwiczeń z przedmiotów pomocniczych. Dogmatycy i moralści uczęszczają na wykłady z historii, filozofii, higieny psychicznej i medycyny sądowej. Juruści korzystają z wykładów prawa cywilnego i karnego. Inni mają obowiązkowe wykłady z historii politycznej i metodologii nauk.

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

Wydział posiada obecnie 14 katedr, 8 docentów oraz 3 prowadzących zleczone wykłady, 3 adiunktów i 6 asysten-

„SAGRUM POLONIAE MILLENIUM“

prof. Koczy: „O historycznym znaczeniu Chrztu Polski”.

W pierwszym tomie znajdzie się

ZYGUMNT TURKIEWICZ

MALARSTWO Z MUZEUM W SAO PAULO

Wystawa arcydzieł z Sao Paulo, urządzona w Tate Gallery, nie pokazuje nam nic specyficznego brazylijskiego, czego moglibyśmy się spodziewać po sugestywnej nazwie. Składają się na nią dzieła malarzy europejskich i to od Madonny Bernarda Daddego (1290-1355) po impresjonizm oraz Modiglianego, Soutine'a i aż po dzieła Picassa.

W sumie wystawiono 78 obrazów czterdziestu trzech malarzy.

Blisko połowa z nich, to dzieła impresjonistów. Konfrontacja arcydzieł z przeszłości z epoką prawie dzisiejszą jest chyba największą atrakcją tej wystawy.

W sali z obrazami Mantegni, Memlinga, Cranacha, Rubensa, Halsy, Van Dycka, Reynoldsa i wielu innych nie od razu odczułem radość na widok tam umieszczonych eksponatów. Zapewne kilka dużych malarzy jakości płócien grugo- i trzeciorzędnych malarzy stwarza ten niezbyt entuzjastyczny nastrój.

Jednak już po malej chwili docierają do mojej świadomości małe rozmiarami dzieła o wytwornym kolorystyce i szlachetnej kompozycji, umieszczone w sąsiedztwie „Zmartwychwstania” — tempory bardzo świetlistej — której autorstwo przypisuje się ostatnio Rafaelowi.

Oceniając piękno barw i prostotę kompozycji w „Portrecie młodego mężczyzny” Cranacha, nie mogłem nie zauważyć, że podobny temat u Hoibeina rozwiązany jest zupełnie na tych samych zasadach. „Kuszenie św. Antoniego” Hieronima Boscha, namalowane na dużej desce, jest bardzo interesującą historią, dziejącą się na różnych planach obrazu. Jednak, aby wydobyć ze siebie ten stopień wrażliwości, który umożliwił pełny kontakt z dziełem sztuki, na to potrzeba mi było zetknięcia się z obrazem El Greca przedstawiającym „Zwiastowanie”. Ten płomienny obraz budowany na tonach z młodych: szaro-zielonych i białych, silnie skontrastowanych zgaszoną żółcią i zimnymi czerwieniami, robi wrażenie prawie abstrakcyjnej kompozycji.

Ostre przeciwstawienia planów, jak gdyby cięte nożem, rzucają się w oczy od pierwszego wejrzenia. Partie światła i cienia stanowią przeważnie dwa zdecydowanie przeciwstawione sobie plany.

Kolor i światło nie modelują kształtów, ale poddane dyscyplinie dwuwymiarowej płótna trzymają się płaszczyzny. Ta zasada budowania obrazu płamą równoległą do płaszczyzny obrazu jest zapewne u El Greca pochodzenia bizantyjskiego.

Wychowany w dyscyplinie płaskiego malarstwa nie wyrócił El Greco, po dłuższym współzyciu z malarstwem i malarzami Renesansu we Włoszech, do absolutnej płaskości fresku bizantyjskiego, ale też nie poddał się okragłemu modelowaniu bryły na wzór i pod sugestią rzeźby, jak to czynił Włosi Odrodzenia. Taka idea budowania obrazu jest niezmiernie bliska zasadom budowy płócien u Cezanne'a. Być może, że to właśnie owe pokrewieństwo formalnych założeń czyni dzisiaj malarstwo El Greca tak bardzo aktualnym.

Jak w naszych czasach Cezanne (w sensie budowania obrazu) jest najostrejszym przeciwieństwem Renoira i klasycznej tradycji w malarstwie XIX w., tak samo El Greco wydaje się być w czasach dawniejszych jak gdyby płacówką najdalej wysuniętej opozycji przeciwrenesansowej.

Pierwszą salę zamykają dwa, dużych rozmiarów, portrety Goyi. Z prawej strony wejścia do sali drugiej umieszczony jest portret Don Juana Antono Llorente, jednego z najslawniejszych ludzi Hiszpanii w epoce napoleońskiej, przyjaciela i doradcy Józefa Bonaparte, króla Hiszpanii. Portret ten powstał w 1813 r., kiedy Don Juan Antonio był u szczytu władzy, a geniusz Goyi osiągał swój punkt kulminacyjny. Dzieło to nie nosi żadnych cech upiększających portret. Jest surowe, utrzymane w czerniach i ciemnych szarościach fioletowych, jedynie twarz namalowana jest tutaj zdecydowanymi różami. Ten portret byłego sekretarza Inkwizycji Hiszpańskiej robi wrażenie.

Drugim jest portret kardynała arcybiskupa Toledo i Madrytu. Portret ten posiada pewne Velasque-zowskie cechy, zwłaszcza uderzenie pedzla. Zastanawiają jednak masy czerwieni, niesłychanie żywej, której przeciwstawia się zimne czarno-zielonkawe tło.

Sala następną, zawierającą obrazy Maneta i Renoira, stanowi przejście od malarstwa dawnych mistrzów do impresjonistów.

„Amazonka” Maneta, przedstawiająca konny portret Marie Lefebury, jest obrazem, na którym łatwo dostrzec można istotne elementy sztuki malarzkiej Maneta. Szeroka czarna plama damy wiąże się w szerszą masę z koniem (uciętym u dołu ramą obrazu powyżej nóg), ostro wrzyna się w zielony ledwie nasłoneczniony pejzaż. W tym właśnie obrazie tak dobrze wyczuwa się malowniczy romantyzm, który się już wyczerpywał i realizm, który właśnie zaczynał interesować.

Te dwa elementy, które łączą w swojej sztuce Manet, czynią to, że jeszcze dzisiaj jedni deklarują się cudowną transpozycją zmysłowa i spirytualna, spełnioną na płótnach Maneta, inni znów widzą w nich rzeczywistą prawdę uchwyconą żywo i silnie.

Na tej samej ścianie, na lewo, umieszczono również obraz Maneta, przedstawiający kąpiel kobiety — ładnie skomponowany z jasnych mas, bardzo szeroko potraktowanych aktów i szarawo-zielonkawego tła, aż prosi się o przeprowadzenie porównania z wiszącym na przeciwległej ścianie obrazem Ingresa („Angelica przykuta do skały”).

Ingres uważa się za kontynuatora Davida dlatego, że jak David powoływał się na tradycję klasyczną, na Rafaela i Poussina. Nawet niezbyt wprawne oko jest w stanie rozróżnić od razu precyzyjny, wypiełgnowany kontur oraz perłową rysunkowość, a zaniebanie strony kolorystycznej tego obrazu. U Maneta obserwujemy zjawisko odwrotne. Każdego uderzy przede wszystkim piękny kolorystyczny kompozycji.

Ośmiem obrazów Renoira pokazywanych na tej wystawie daje świadectwo, jak bardzo borykał się ten malarz z problemami malarzkimi.

Dużych rozmiarów płótno „La Baigneuse au Griffon” zostało namalowane w 1870 r., gdy Renoir miał lat 31. Płótno to, aczkolwiek posiada duże zalety, pokazuje, do jakiego stopnia Renoir ulegał wpływom. W tym wypadku wpływy sztuki naturalistycznej Courbetta są wyraźne.

Drugie płótno „Kąpiącej się” tegoż malarza pochodzi z roku 1910, to znaczy z okresu dojrzałości malarzkiej Renoira. Wykazuje ono pewne odejście od malarstwa na rzecz rzeźby. Modelowane różowo-ceglastą farbą masywne kształty koczujące na mglistym zielonkawym tle, nie związanym z bryłą ciała, są dowodem sprowadzenia istoty malarzkiej do sprawy formy jak najbardziej plastycznej.

O wiele więcej cech malarzskich posiadają takie płótna Renoira, jak małych rozmiarów obraz „La Femme au Sourire”, bezpretensjonalny i bardzo w kolorze utrzymany obraz „Made-moiselle Marthe Berard”. To młoko malowane płótno, w którym zielonkawo-niebieskie pończochy, szarą na biodrach i kokarda we włosach są pięknymi uderzeniami do złotych u-

grod podłogi i szaro zimnego tła, malowanie jest metodą dywizyjną. Sala następną zawiera obrazy przeważnie impresjonistów i postimpresjo-

ni i Picassa. Interesują nas one tym bardziej, że wywiezione z Europy, oglądamy je po raz pierwszy i oby nie ostatni. Ciągłe dużo można się nau-

Cztery, prawie szkicowo potraktowane, obrazy Toulouse-Lautreca, malowane gwaszem na niegruntowanej tekturze, robią dzisiaj wrażenie popieszczonej notatek, robionych na gorąco w kontakcie ze swą ludzką naturą. Tyle doskonałego charakteru swojej epoki, jaki zdołał nam przekazać ten malarz, nie może nie zastanawiać.

Dużych rozmiarów martwa natura Matisse'a — z gipsowym torsem — namalowana bardzo konsekwentnie, jest dobrą lekcją świadomego malarstwa dla każdego, kto zakłada sobie problem malarzki przed przystąpieniem do malowania płótna z natury.

Dwa obrazy Gauguina, w tym jeden portret własny, są chyba tutaj najslabszymi pracami.

Obrazy Picassa, które zaskakiwały nas swoją nowością, stały się prawie klasyczne i z powodzeniem w zgodzie i harmonii mogłyby wisieć obok obrazów El Greca.

Widać z tego, że wielkim malarzom dozwolone jest wszystko, a najbardziej rewolucyjne eksperymenty wychodzą im zawsze na dobre.

Prawie połowa obrazów na tej wystawie — to portrety. Malowane przez różne temperamenty malarzkie, w różnych epokach, na przestrzeni z górą pięć wieków, przedstawiają ciekawe zagadnienie dla opracowania gruntownego. Nie kusząc się o to, zwrócę tylko bardzo powierzchowną uwagę na różnicę w traktowaniu portretu przez malarzy wieków minionych i doby dzisiejszej. Portret dla malarzy był albo problemem wdzięcznym i popularnym albo pogardzonym. W 1829 r. Delacroix notuje: „Nic bardziej rozpowszechnione niż to głupie mniemanie, że portret jest drugorzędny rodzajem malarstwa. Cóż może być jednak bardziej interesującego niż rysy sławnego człowieka albo naiwny w zerknąć młodej osoby.”

W miarę jak sztuka malarzka uniezależniała się i wyzwała od oficjalnego zamówienia, portret stawał się coraz swobodniejszy, tracąc cechy

portretowanej osoby; upodabniał się w ogólnym sensie do obrazu. Stosunek do modelu stawał się coraz luźniejszy. Dla malarza ważniejszą sprawą staje się budowanie interesującej powierzchni obrazu niż wierne przekazanie rysów portretowanego. Jeżeli ktoś miał o to pretensje, to odsyłał go do fotografa. W portretach Cezanne'a, Modiglianego, a nawet Matisse'a mamy jeszcze przynajmniej zachowany ogólny charakter modelu do stopnia jakiejś rozpoznawalności, ale już u Picassa czy Braque'a jedynie podpis wyjaśnić może, czy portret został namalowany. Sprawa podobieństwa ponoć nie od dzisiaj jest bagatelizowana. Znana jest historyjka z Michałem Aniołem, który zagadnięty podczas pracy, czy aby portretowany książę istotnie tak wygląda, miał odpowiedzieć: „Za lat trzydziścić będzie pamiętała jak wyglądał książę? Będzie takim, jaką będzie statua stworzona przez mnie.”

Upadek sztuki portretowania, czy mówiąc łagodnie, zrezygnowanie z wyrazu psychologicznego, jakie obserwujemy dzisiaj w portrecie, jest niesłychanie charakterystyczne dla sztuki współczesnej.

Ale czyż możemy sobie powiedzieć, że istotnie interesuje nas człowiek, jego niedola i cierpienie i bodajże w tym jeszcze stopniu co na przykład Van Gogh? Dziś portretowe tego malarza — chłopiec w czapce ciemno-zielonej — o żółtej twarzy, pełnej wyrazu, na czerwonym tle, w zielonkawo-niebieskiej kurtce, na tle tym razem pomarańczowym — jest w stanie zachwycać dzisiaj każdego.

Possada ono wszelkie zalety formalne, wymagane dzisiaj w sztuce malarzkiej, oraz ma również te trudne do uchwylenia elementy, które decydują o tym, że dzieło jest jednak portretem.

Portret zony Cezanne'a w różowej sukni jest już zjawiskiem zupełnie innym. Jest to świat pełen wiedzy, refleksji i wymaga dłuższej kontemplacji. Trudno o przykład bardziej rafinowanego rozwiązania formalnego portretu, jaki daje nam tutaj Cezanne. Wyszukany kolorystycznie, prosty lecz jakże niebanalna kompozycja, przez to ustawienie figury, nieco skośnie w stosunku do pionowych krawędzi płótna, konsekwentna, zdyscyplinowana budowa formy — wszystko to w najlepszym Cezanne'owskim gatunku — składa się na to arcydzieło.

Zupełnie inne miejsce zajmują portrety Modiglianego. Są one jakimś szczęśliwym związkiem wielkiej tradycji włoskiej i sztuki prymitywu muzułmańskiego. Nie pozbawione swoistego wdzięku, mają dużo prawdy portretowej, a zwłaszcza zastawiają ony ten charakter osoby. Zestawiając portret Modiglianego z portretem np. Rembrandta, rozumiemy może najlepiej, jaką drogą poszło malarstwo dzisiejsze, dla którego zagadnienie budowy płótna, jego powierzchni, gatunek koloru są czymś bardzo istotnym i którym to zagadnieniem malarz podporządkowuje wszystko.

Z czterech portretów Goyi, pokazanych na wystawie, portret Markizy de Casa-Florez jest bodajże najświetniejszy. Namalowany bez żadnych wahań, jest to portret na wskroś wizerowy. Szare róż, biele i czerni wiąże się tutaj w zamknięty akord; patrząc na ten obraz wydaje się, że nie można go było namalować inaczej.

Portret Ferdynanda VII, namalowany pomiędzy 1805 i 1808 rokiem, to jest wówczas, gdy Goya przekroczył już sześćdziesiątkę, jest typowy dla tego okresu malarstwa artysty. Portret namalowany jest technicznie bardzo lekko. Charakterystyką modelu jest tutaj przesadna, granicząca z karykaturą (silnie uwydatniona szczęka i małe, zabawne, czarne oczy) jasna gama tonów białych, różowych i czarnych. Całość technicznie jakas tragiczną powagą.

Historia muzeum w Sao Paulo jest krótka, ale niezmiernie interesująca. Zaczęło się od tego, że odczuwano ogólnie potrzebę jakiegoś centrum kulturalnego, gdzie by mogły być dyskutowane problemy związane ze sztuką.

Senator Chateaubriand, dyrektor piętnasto-piętrowego gmachu konserwu prasowego, odstąpił na ten cel swoje zbiory malarstwa i początkowo jedno, a następnie trzy dalsze piętrowe gmachu. Przyjaciele sztuki z całej Brazylii ofiarowali dalsze dzieła. Liczba ofiarodawców sięgała do 300, wśród nich znalazły się banki i przedsiębiorstwa. Zaczęło się to wszystko przed siedmiu zaledwie laty i dzisiaj to już sławne muzeum kipi życiem, bo obok wystaw odbywają się tam kursy malarstwa, rzeźby itd. i to zarówno dla dorosłych jak i dla dzieci. Prócz tego odbywają się tam kursy filmowe, koncerty, pokazy mody i tańca baletowe. Co jest w tym najciekawsze, to fakt, że wszystkie te imprezy odbywają się w salach zawierających obrazy czy rzeźby — a więc sztuka w obliczu sztuki.

Muzeum jest czynne cały dzień do późnej nocy i praca maszyn drukarskich na sąsiadujących piętrach odbywa się w pełnej harmonii, zupełnie nie zakłócona wycieczkami adeptów sztuki.

Tak więc historia najmłodszego w świecie muzeum jest naprawdę bohaterką i zupełnie niebanalna, a wystawa arcydzieł, które możemy oglądać dzięki inicjatywie kierownictwa tego muzeum, objęła już wiele stołec europejskich, między innymi Paryż, Brukselę, Utrecht i Berno.

Jan Laterański

Zygmunt Turkiewicz



WINCENTY VAN GOGH:
Syn histonosza.

stów, a więc malarstwo, na którym nasze pokolenie zostało wychowane. Najznajdźmy tam obrazy Degasa, Modeta, Toulouse-Lautreca, Vuillarda, Van Gogha, Cezanne'a, Modiglianego

czyż z wczesnych płócien Cezanne'a, kiedy to operował jeszcze szerokimi masami koloru, jak też ciągle będę nam imponowała ta jego wspaniała dyscyplina w stosunku do natury.

JAN LATERAŃSKI

SŁOŃCE NAD ZATOKAMI

W Gostii antycznej, gdzie szum Tybru muzyka zrasza bezmiar ruin w radosnym słońcu zatoki Imperium, stoją rzeźby marmurowe: Roma i Victoria.

Roma w sukni faldzistej jak strugi deszczu. Czas i losy twarz rozłupały w pół. Tylko jedno oko kamienne patrzy na szczyty budowli Rzymu dzisiejszego, który zachłystniły wiecznością, potężnie i cicho rzuca na ustępujące morze Tyrryńskie.

Roma — bogini nogę wspiera na kamiennej kuli ziemskiej, lecz symbol potęgi czas rozłupał i starł.

Tyber zawęził bieg. Na „nule” zatok Imperium rośnie i dojrzewa chwast i pszenica.

Ziemia się rozrosła, stężała i wiatr zamiast fal, kołysze różę bukietów oleandrów, które jak kolorowe żagle płyną na morzu zapachów.

Ruiny.
Ruiny portu.
Czworoboki ścian, bloki tragiczne i rozdarto, kolumny romantycznie pęknięte. Ruiny jak rzeźby abstrakcyjne, których formę i rytm czas niszczył i stwarzał.

Wokół cisza słońcem rozżarzona bez krzyku mew — tylko chrząst nieprzerwany św. erszczy, jak zgorączkowany puls ziemi, unosi się pieśnią życia.

Ostia Antica.
Roma jak Nike Zwycięska sterczy na cokole — zwycięska w swej piękności okaleczonej. W zamierzonej potędze symbolu zwyciężona. Upadała.
Poraniona, jest pięknością tragiczną. Formą przemienioną w piękności kształtu — żyje odrodzona.

Legenda wytrysła jak Wenus z mglistych fal w południe wiosenne, gdzie niebo i woda nie rozdarte horyzontem leżą jednym zwałem chmury na falach lazurowego Adriatyku.

Słońce przepadnie w wilgnych dymach szarości plonie niespodzianką na zablonych kwiatem jabłoniach nad skrajem kamienistych plaż.

Bazylika Matki Boskiej kielichem oliwianej kopuły kryje w jasnościach mury i kolumny.

Kopuła w koronie morza i nieba czci majestat Madonny, Fulgens Corona.

Anioły przeniosły domek Maryi Panny do Loreto nieznanymi drogami i w czas nieznanzy z innej ziemi.

Don Zwiastowania.
Skrzydła miały pewnie płomienne, jak te z obrazów Fra Angelica lub łodzi rybackich. Pomarańczowe i czerwone. Zagle nadziei i dobrej nowiny — matek i żon szukających na horyzontach łodzi swych synów i mężów. I anioły o skrzydłach żagli złożyły półłów ewangeliczny na wzgórzu nad morzem — obfity i święty dar.

Na stoku wzgórze leży cmentarz w białości tysiąca krzyży. Groby polskich żołnierzy.

Wokół krzewy róż, rozrostłych niepomniernie i bujnie, spadają w kaskadach woni i kwiatów.

Pośród ciernistych gąszczu opowieść szeregami wrytych imion gawędzi o tych, co przyszedli z dalekiej ziemi,

ugasili płonąca bazylikę, by ratować legendarny Don Zwiastowania.

Poniżej morze odbija chyboli we blaski włoskiego nieba.

Wenecja.

Santa Maria della Salute ze ślimacznic barokowych pozdrwia niebo. Niebo u stóp światywni w rwałym szumie Canale Grande wpływa l'anią pod progi ołtarza.

Siedzę na stopniach schodów i słucham muzyki uderzeń wioseł gondoli i beikotu fal pękających na kamiennych stopniach. Noc przepływa kanałami i tam, gdzie widać morze rośnie i świt z zakwitających perłowych mgieł.

I nie ma wody i brak jest nieba. W tych barwach rozdziły się obrazy Guardiego.

Światło Canaletta tnie kontur ostro, dzieli hieratyczność pałaców i prze-



VICTORIA

Wenecja na brzegu dwóch światów rozposciera architektury świątyni i pałaców. I jak gondole na niecierpliwych falach kanałów, gotyckie fasady domów płyną w odbiciu w wody, chyboliwe w rozzerwanych koronkach marmurowych rozet pałacu dożów. Cienie pod lukami wiotkich mostów są zielone jak z palety Canaletta i miosą patyne historii.

Wenecja Canaletta jest złota jak bizantyjskie mozaiki świątyni świętego Marka, zbudowana ze światła, które rzeczywistości przdały jej przepychu. „Pałac dożów” na swych ścianach jak zakrzepła krew dżwiga opowiesci minionej potęgi bardziej realne niż rozdzielający historyi.

rzystość powietrza, Guardi na mosty „westchnień” i „miłości” przesiewa farbę smugami: blasków dalekich.

W romantycznej poświacie poranku najpierw widać plachty zagłówek sunące ku Canale Grande. We wszystkich ranki letnie życie przesuwa się światem malarzskim z obrazu „Łuki i zagłówek” i mija z uchodzącą mgłą. Czas sztuki, bez epoki, w treściach niedopowiedzianych, snujący opowieści nieznanne.

Słońce jest coraz wyżej. Miękkosć konturów złotka jak przypływał fal. I tylko ludzkie sylwetki w barwnych koszulach żyją w przestrzeni kolorem i rzeczywistością się wylaniają jak nadpływająca barka.

